CZWARTEK

Jak fotografowałem pszczoły – str. 6

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 122 19 PAŹDZIERNIKA 1978 R. CENA 1,50 ZŁ

Jesienny spacer z... Muchą

Pamiętaj – 22 października...

BABIA GÓRA NIE GORSZA OD GIEWONTU!

Jeszcze nie umilkło tatrzańskie echo głoszące chwałę dwóch i pół tysiąca sprzątaczy-społeczników, którzy 17 września znieśli z gór kilka ton wszelkiego śmiecia, a znów szykuje się podobna impreza. Tym razem w Beskidach Śląskich. Są równie zaśmiecone jak Tatry, szczególnie tereny Babiogórskiego Parku Narodowego. Po terenach całych Beskidów jak rok długi, wieloma szlakami, wędruje wszak około 10 milionów turystów!

Wielkie sprzątanie Babiej Góry i jej okolic rozpocznie się 22 bm. czyli w najbliższą niedzielę o godz. 7.00 i trwać będzie do 15.00. O tej bowiem godzinie organizatorzy planują spotkanie wszystkich uczestników akcji.

Każdy, kto chciałby uzyskać szczegółowe informacje na ten temat, może telefonować: **Zawoja 110** (dyr. Babiogórskiego Parku Narodowego), **Bielsko-Biała 23018, 23019** (ZW PTTK) oraz też w Bielsku **25878 i 23577** (red. „Kroniki").

Zachęcamy wszystkich, a szczególnie drużyny harcerskie do wyruszenia w niedzielę na turystyczne szlaki Babiej. Czekamy również na Wasze sprawozdania! **(jd)**

Rys. **„Kronika"**

MISTRZOWSKIE DRUŻYNY ZHP

GDAŃSK (HSI). Od lipca 1973 r. drużyny ubiegają się o tytuły mistrzowskich drużyn zuchowych, harcerskich oraz drużyn i szczepów sztandarowych, a także wzorowych kręgów instruktorskich. Grupy, które w ubiegłym roku spełniły określone regulaminem wymagania, zostały wyróżnione dyplomami przez Główną Kwaterę ZHP. Na terenie woj. gdańskiego miano zuchowej drużyny mistrzowskiej otrzymało 208 zespołów. Wśród zespołów harcerskich w szkołach podstawowych tytuły sztandarowych nadano 24 drużynom, a spośród drużyn HSPS miano sztandarowych uzyskało 16. Tytułem wzorowego kręgu instruktorskiego wyróżniono 7 zespołów Chorągwi Gdańskiej. **(mi)**

AKCJA „SPIS"

RZESZÓW (HSI). Realizację ciekawego i pożytecznego zadania mają już poza sobą harcerze Rzeszowskiej Chorągwi ZHP. Dziewczęta i chłopcy dokonali przeglądu oznakowania ulic i numeracji domów. O swych spostrzeżeniach poinformowali odpowiednie urzędy miejskie, miejsko-gminne i gminne. Wszystkie uwagi były odnotowywane na specjalnych drukach wydanych przez Główny Urząd Statystyczny. Ta pożyteczna harcerska akcja wiąże się z przygotowywanym w bieżącym roku Narodowym Spisem Powszechnym. **(kż)**

LICEALIŚCI OPIEKUJĄ SIĘ POMNIKIEM CHOPINA

WARSZAWA (HSI). Młodzież Liceum Ogólnokształcącego im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie objęła patronat nad pomnikiem Fryderyka Chopina w Łazienkach i jego najbliższym otoczeniem. Uczniowie liceum prowadzić będą prace pielęgnacyjno-porządkowe wokół pomnika, przy którym odbywają się koncerty chopinowskie. **(kż)**

II Dni Przyjaźni Młodzieży Polskiej i Czechosłowackiej

16 października w Katowicach rozpoczęły się Dni Przyjaźni Młodzieży Polskiej i Czechosłowackiej. Odbyło się już wiele imprez kulturalnych i sportowych. Goście z Czechosłowacji odwiedzili zakłady pracy, uczelnie, szkoły. 21 października w Zabrzu odbędzie się wielki Wiec Przyjaźni. Dni organizowane są wspólnie przez SSM – Socjalistyczny Związek Młodzieży działający u naszych południowych sąsiadów i Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. **(pas)**

XXIV Czwórbój „Świata Młodych"

REGULAMIN I PUNKTACJA BEZ ZMIAN

XXIV Lekkoatletyczny Czwórbój o puchar naszej redakcji wystartował. Aktualnie trwają eliminacje w szkołach, niebawem rozpoczną się zawody na szczeblu gminy i rejonu. Obie imprezy winny zakończyć się jeszcze w tym roku kalendarzowym. Dopiero wiosną, w terminie do 15 maja, zwycięzcy powyższych eliminacji spotkają się na zawodach wojewódzkich, a w kilka dni później odbędą się walki strefowe. Finał krajowy, oczywiście z udziałem najlepszych z najlepszych, przewidziany jest na 3–7 czerwca w Radomiu.

W związku z licznymi pytaniami, jakie wpływają do redakcji informujemy, że **XXIV Czwórbój rozegrany będzie w myśl starych regulaminów, obowiązuje również stara punktacja. I jeszcze jedno; każda startująca w czwórboju drużyna może zrezygnować ze skoku w dal na korzyść biegów średniodystansowych: dziewczęta – 600 m, chłopcy – 1000 m. Finał międzynarodowy odbędzie się na terenie NRD. (zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

O tym warto wiedzieć

Tuvalu – nowe niepodległe państwo

Maleńka kolonia brytyjska – Tuvalu, w skład której wchodzi 9 wysepek koralowych, położonych na południowym Pacyfiku w odległości 1200 km na północ od Fidżi, uzyskała 1 października niepodległość. W wydarzeniu tym nie byłoby nic niezwykłego, a jednak fakt wejścia Tuvalu do rodziny wolnych i niepodległych narodów świata wzbudził sensację. Stąd też na uroczystości wybrało się co najmniej 100 dziennikarzy. Łącznie więc z oficjalnymi osobistościami na czele z brytyjską księżniczką Małgorzatą, do Tuvalu przybyło kilkaset osób. I znowu nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że w całym państwie znajduje się tylko jeden hotel Funafuti (nazwa ta pochodzi od nazwy wysepki, na której się znajduje) z ośmioma pokojami. Podobno komisarz brytyjski Thomas Laynga na długo przed „najazdem" gości wyrywał sobie resztki włosów ze zmartwienia, jak zapewnić wszystkim nocleg. Dla księżniczki Małgorzaty znalazło się proste rozwiązanie – zamieszkała na pokładzie specjalnego okrętu marynarki Nowej Zelandii. Jednakże dziesiątki, zarówno oficjalnych, jak i nieoficjalnych gości, a także dziennikarze zmuszeni byli szukać sobie kwater prywatnych. Zresztą klimat Tuvalu pozwala na przespanie się w ostateczności pod pierwszym lepszym drzewem bananowym.

W związku z napływem gości, Tuvalu zmuszone było sprowadzić tony żywności oraz duże ilości wszelkiego rodzaju napojów. Do tej pory bowiem w ciągu całego roku odwiedzało wyspy zaledwie 50 turystów. Również jedyny bar w państwie przy hotelu Funafuti otrzymał zezwolenie na przedłużenie godzin pracy do dziewiątej wieczorem. Dotychczas bowiem bar zamykał swoje podwoje już o trzeciej po południu.

Skąpane w słońcu wysepki Tuvalu porośnięte palmami kokosowymi, drzewami bananowymi i chlebowymi, będą jednym z najmniejszych niepodległych krajów na świecie. Wysepki te pozbawione są w większości przejawów współczesnej cywilizacji. Nie posiadają własnej stacji telewizyjnej. W Tuvalu jest tylko jedna rozgłośnia radiowa, nadająca audycje w języku angielskim i w rodzimym języku Tuvalu. Wydaje się zaledwie jedną gazetę w półtoratysięcznym nakładzie. W Tuvalu nie ma banku. Wysepki nie posiadają własnych pieniędzy. W powszechnym użyciu jest waluta australijska. Popularną formą transportu są motocykle, ale liczbę pozostałych pojazdów zmotoryzowanych można policzyć na palcach obu rąk. Drogi bite znajdują się tylko na jednej z wysepek, właśnie Funafuti.

A swoją drogą, ciekawe będą dalsze losy tego mikroskopijnego państewka, liczącego zaledwie 7500 obywateli, głównie pochodzenia polinezyjskiego. (b)

KRÓLOWA WRACA NA TRON

Choć mówiono o niej królowa, była raczej Kopciuszkiem. Pamiętała o niej garstka poetów zauroczonych jej pięknem i nieliczni zapaleńcy, którzy za cel życia postawili sobie przywrócenie jej królewskiego splendoru i znaczenia. Wisła niszczona przez fabryki i wielkie miasta, za kilka lat stałaby się wielkim ściekiem. Już dziś prawie 30 proc. jej wód nie nadaje się do niczego – są zbyt brudne nawet dla przemysłu.

Nie wykorzystywano jej też jako szlaku żeglugowego. To, co barkami wędrowało wiślanym szlakiem na ważnej dla gospodarki kraju trasie Północ–Południe, było mikroskopijnym ułamkiem w całej masie ładunków przewożonych co roku w Polsce.

Wisła czekała na swoją szansę...

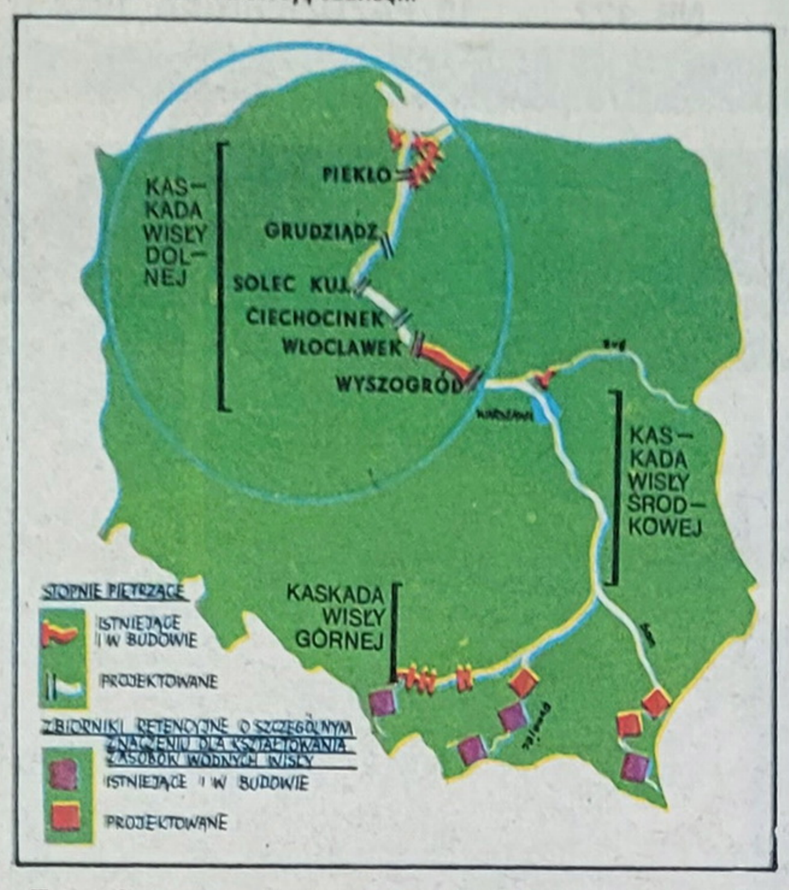

Trzy piętra stopni

Autorzy powstającego obecnie planu zagospodarowania Wisły podzielili ją na trzy odcinki tzw. Kaskady: Górnej, Środkowej i Dolnej Wisły. Na każdy z nich składać się będzie od kilku do kilkunastu stopni wodnych – zapór piętrzących wody i tworzących duże zbiorniki. Można powiedzieć, używając bardziej obrazowego porównania, że rzeka zostanie uformowana w trzy „piętra gigantycznych schodów", którymi spływać będzie do morza. Koszty tej ogromnej inwestycji – zakrojonej do roku 2000 – będą bardzo wysokie, sięgną setek miliardów złotych. Wydatek ten jest jednak uzasadniony potrzebami kraju; koniecznością zapewnienia odpowiedniej ilości wody dla miast i przemysłu, rozwojem rolnictwa, transportu wodnego oraz, co bardzo istotne, pilną potrzebą przywrócenia wodom Wisły czystości i uratowania na wielu jej odcinkach ginącego życia biologicznego.

Ogólne założenia programu „Wisła" są już dość szeroko znane. Zajmujemy się więc szerzej jednym fragmentem tych prac – a mianowicie tzw. Kaskadą Dolnej Wisły. Jest to odcinek liczący 391 km, rozciągający się od ujścia Narwi do wybrzeża morskiego. Powstanie tu do początku lat dziewięćdziesiątych 6 stopni wodnych. Zlokalizowane one będą w Wyszogrodzie, Ciechocinku, Solcu Kujawskim, Grudziądzu, Piekle. Szósta zapora we Włocławku już istnieje; została oddana do eksploatacji w końcu 1970 roku.

Już na przełomie 1979/80 przewiduje się rozpoczęcie budowy zapory w Ciechocinku. Jest to szczególnie trudne zadanie – sporym kłopotem dla projektantów było np. znalezienie sposobu na umknięcie zanieczyszczenia pokładów solanki znajdujących się w pobliżu tej miejscowości. Istnieje niebezpieczeństwo, że wykonując głębokie wykopy pod zaporę i zbiornik spowoduje się przeniknięcie wód Wisły do pokładów solanki.

W następnej kolejności na dolnej Wiśle powstanie zapora w Wyszogrodzie, a po niej stopnie wodne w Solcu Kujawskim, a później w Grudziądzu i Piekle.

Czy Warszawa będzie... portem morskim?

Zbudowanie Kaskady Dolnej Wisły przeobrazi ten odcinek rzeki w drogę wodną IV, a może nawet V klasy. Oznacza to, że głębokość toru wodnego oraz rozmiary śluz (przy każdej zaporze dwie) dostosowane zostaną do dużych zestawów barek. Na rzekę wyruszą „pociągi wodne", które w czasie jednego rejsu przetransportują 3,5 tys. ton towarów. Żegluga trwać będzie przez 330–350 dni w roku. Dolna Wisła stanie się ruchliwym traktem żeglugowym, którym rocznie przewozić się będzie kilkanaście milionów ton towarów. Dotrą one do dużych zakładów przemysłowych zlokalizowanych nad rzeką, np. w Płocku, Toruniu. Barki zapewnią szybkie i tanie połączenie żeglugowe centralnej Polski z portami Trójmiasta. Szczególnie ważne jest zapewnienie barkom łatwego dostępu do Portu Północnego. Przeznaczony on jest do przeładunku węgla, rudy, ropy naftowej – a właśnie te ładunki szczególnie nadają się do przewozu barkami rzecznymi. Myśli się nawet o jeszcze bardziej interesujących rozwiązaniach. Bo czy np. Warszawa nie mogłaby stać się portem morskim? Nie jest to wcale pytanie, które rodzi się w głowach fantastów. Zbudowanie Kaskady Dolnej Wisły uczyni rzekę na tym odcinku dostępną dla małych statków morskich. Nie jest więc wykluczone, że pod koniec tego stulecia Warszawa stanie się portem macierzystym sporej floty pełnomorskiej.

Tani prąd

I to jest drugie niebagatelne znaczenie Kaskady Dolnej Wisły. Każda z projektowanych zapór – podobnie jak już istniejąca we Włocławku – zostanie połączona z elektrownią wodną. Nie będą one zbyt duże, można raczej zaliczyć je do naszych energetycznych „mikrusów". Ale większych, niestety, nie można zbudować na Wiśle – siła spadku jej wód jest po prostu zbyt mała. Ale mimo że niewielkie – łączna ich moc wyniesie 2 tys. MW – elektrownie Kaskady Dolnej Wisły będą miały spore znaczenie dla kraju. Po pierwsze – wytworzą bowiem energię elektryczną dużo tańszą niż w elektrowniach opalanych węglem kamiennym lub brunatnym. Po wtóre – można włączyć je do sieci krajowej niemal natychmiast, jeśli tylko wystąpi niedobór prądu. Wystarczy uruchomić przepusty wody i turbiny, aby popłynęła energia elektryczna – podczas gdy w elektrowniach węglowych mija sporo czasu zanim rozpalone zostaną kotły, zanim ruszą turbiny.

Dogodne warunki do żeglugi, tani prąd, ale myliłby się ten, kto sądziłby, że do tego tylko sprowadzają się korzyści jakie przyniesie zagospodarowanie Wisły. Wspomniałem już o zlikwidowaniu zanieczyszczeń rzeki. Program Wisła przewiduje budowę ok. 170 dużych oczyszczalni ścieków. Część z nich zostanie usytuowana w Kaskadzie Dolnej Wisły – gdzie sporo jest zakładów przemysłowych np. w Płocku, Toruniu, Grudziądzu i innych miastach, które skutecznie do tej pory zatruwają wody i niszczą życie biologiczne. Wisła mimo że przecież nad jej brzegiem powstawać będą nowe zakłady przemysłowe, mimo że rozrastać się będą miasta – powinna stawać się coraz czystsza. A ma to znaczenie nie tylko gospodarcze – bo przecież powstanie kilku zalewów – w jej dolnym biegu stworzy znakomite warunki dla powstania dużych centrów wypoczynkowych, wielu domów wczasowych. A dla przyjeżdżających tam ludzi nie będzie przecież bez różnicy czy spędzą urlop nad martwymi, brudnymi ściekami, czy nad rzeką o czystych, bogatych w ryby wodach.

Nie można też zapomnieć o ogromnych zmianach, jakie zbudowanie Kaskady Dolnej Wisły spowoduje w rolnictwie. Właśnie na tym terenie mamy obszary gdzie gospodarka wiejska stoi na wysokim poziomie (Kujawy, Żuławy). Zagospodarowanie Wisły sprawi, że w tym rejonie będzie można uzyskiwać znacznie wyższe zbiory. Stałe utrzymanie wysokiego poziomu wód umożliwi bowiem właściwe nawodnienie pól. A na Żuławach np. będzie można tego dokonać znacznie taniej niż to ma miejsce obecnie.

I o jeszcze jednej ważnej sprawie warto tu wspomnieć. Budowa na Wiśle zapór znakomicie ułatwi przeprawy przez rzekę. Grzbietami tam przejdą drogi, autostrady i linie kolejowe. Projektuje się np. przeprowadzenie przez stopień wodny w Ciechocinku autostrady Północ – Południe.

* * *

Często, gdy mowa o programie „Wisła", padają pytania – czy nasz kraj stać na tak ogromną inwestycję? Czy mając tyle potrzeb możemy pozwolić sobie na zużycie milionów ton stali, cementu, tysięcy maszyn tylko na ten jeden cel. Odpowiedzieć na te pytania można także pytaniami: a czy można dopuścić do całkowitego zniszczenia wielkiej rzeki; zniszczenia, które postawiłoby nasz kraj w obliczu katastrofalnego niedostatku wody; czy można pozwolić aby jeszcze przez następne dziesiątki lat była ona całkowicie nie wykorzystywana jako droga taniego transportu towarów.

Wisła doczekała się swojej szansy. Królowa wraca na tron.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. CAF

Z orlich piskląt mogą wyrosnąć wrony...

Bywałem ostatnio na wielu zawodach i imprezach sportowych, tych dla nastolatków. Przyznaję, nie ukrywając zadowolenia, że są one coraz lepiej organizowane i wiele uwagi przywiązuje się do tzw. oprawy. Jest więc parada zawodników, wciąganie flagi, sztafeta z olimpijskim zniczem, ślubowanie. Coraz też częściej – zresztą z powodzeniem – łączy się sportowe zawody z występami zespołów artystycznych i popisami orkiestr. I w tym tkwi chyba powód, że na trybunach zaczyna być rojno, że imprezy te zdobywają sobie popularność.

Ale jest też w nich coś, co niepokoi i zmusza do głębszej refleksji. To „coś" dotyczy nie tyle samych imprez, co ich głównych aktorów, czyli zawodników. A że zjawisko nie należy do błahych, nie można go pominąć milczeniem.

Otóż to „coś" uderzyło mnie w wyglądzie i postawie, może jeszcze nielicznej, ale już rzucającej się w oczy grupki startujących młodych zawodników. Szczególnie tych, których drogą zbyt twardych i jednostronnych metod, trenerzy mozolnie acz przedwcześnie sposobią do roli sportowych „gwiazdorów". Pozbawione emocjonalnych pobudek, posłuszeństwo i wysiłek w wykonywaniu treningowych i startowych zadań ciężkim brzemieniem kładzie się na ich stosunku do sportu i na życiowych postawach. Wspaniale – jak na nastolatków – rozwinięte mięśnie, a w postawie brak entuzjazmu i spontaniczności; przygarbieni i jacyś zgorzkniali. Odnosi się wrażenie, że sportowe współzawodnictwo nie przynosi im radości, nie jest ich pasją.

Mam przekonanie, że do takiego stanu wyglądu i ducha może doprowadzić jedynie zbyt wczesne nakładanie na młodziutkich zawodników poważnych zadań wyczynowych, rozbudzanie nieosiągalnych od zaraz szczytów aspiracji. Nie trudno wtedy o wywołanie rezygnacji z wysokiego, orlego lotu. Miejsce spontaniczności i pogody ducha zastępuje mozolne i bezbarwne w swojej istocie wyrobnictwo sportowe.

Jestem świadom tego, że wrzucam kamienie do ogródków tych sportowych trenerów i wychowawców, którzy – być może zmęczeni zabiegami o w miarę dobre warunki treningowe dla swych podopiecznych – sami zatracili entuzjazm i cierpliwość w powolnym dochodzeniu do celu, drogą wykorzystywania wszystkich walorów wychowawczych sportu. Warto więc w tym miejscu przypomnieć, że współzawodnictwo sportowe, które nie rozwija i nie angażuje całej osobowości młodego człowieka, nieuchronnie prowadzi do frustracji, do zmarnowania wysiłku zawodnika i wychowawcy. Wtedy to z orlich piskląt wyrastają wrony.

Jeszcze jedna sprawa niepokoi, a wiąże się ona z pierwszą. To wygląd zewnętrzny wielu zawodników, zarówno w czasie przebywania na boisku, jak i poza nim. Dość często oczom naszym jawi się nastoletni sportowiec z długą, skudłaną czupryną i nonszalanckimi manierami. Nawet w trakcie centralnej inauguracji trzeciego etapu „Sztafety Olimpijskiej – Moskwa 1980", na starcie koronnych w tej imprezie biegów, rozgrywanych pod hasłem: „bijemy rekordy życiowe", część zawodników wystąpiło niechlujnie ubranych. Jedni w sfatygowanych dresach, a inni w ubiorach nie bardzo przypominających stroje sportowe, w dodatku brudnawe. Na szczęście byli jednak i inni...

Z ogromną satysfakcją śledziłem rywalizację między jednymi i drugimi, zresztą nie tylko ja. Z satysfakcją, bo sukcesy odnosili ci schludni, roześmiani, spontaniczni. No cóż, sport ma to do siebie, że nie znosi pozerstwa i traktowania jak rzemieślniczą powinność. Nie ma w nim szans na wielki sukces ten, kto zatracił młodzieńczość, ład fizyczny i duchowy.

A poza tym – trzeba jeszcze umieć i chcieć korzystać z dobrych wzorców i dobrych przykładów. I nie tylko w sporcie.

RYSZARD RATAJCZYK

NIE ZDARZA MI SIĘ NUDZIĆ

Pokoik Magdy jest typowo dziewczyński: białe szafki, półeczki, na nich pełno miłych oku drobiazgów, książek, na łóżku ogromne pluszowe zwierzaki, spełniające teraz chyba tylko funkcje poduszek, a nie towarzystwa do zabaw.

Jest jeszcze Iwan. Iwan czuje się absolutnym właścicielem tego pokoiku. Na pewno spędza w nim więcej czasu niż Magda, a z racji swych niewielkich rozmiarów porusza się tu swobodniej. Iwan jest bardzo despotyczny, gdy nie zwraca się na niego dłużej uwagi, robi się przeszkadzalski i krzykliwy. Trzeba z nim wtedy porozmawiać, pozachwycać się nim trochę – bardzo to lubi. Pewien znawca ptaków stwierdził, że Iwan należy do papug-awanturników. Ma jeszcze jedną brzydką przywarę: gdy tylko zobaczy wino w kieliszku, zaraz sobie na nim przysiada i popija. Reaguje typowo: najpierw jest wesoły, dużo śpiewa, a potem zaczyna się kiwać i usypiać.

Tak na stałe to Magda ma jeszcze psa Muchę. Mucha jest przeciwieństwem Iwana – grzeczna, spokojna, wręcz lękliwa. Przybłąkała się kiedyś i tak już została. Chyba miała dużo przykrych przejść w swoim życiu, stąd jej bojaźliwość. Lubi niestety dużo jeść, co nie robi jej dobrze „na linię".

Oprócz nich Magda ma jeszcze zwierzęta „dochodzące", mieszkające czasowo na strychu. Są to gołębie, koty, psy – zwierzaki, którym trzeba użyczyć noclegu czy udzielić pomocy lekarskiej. W sąsiedztwie mieszka zaprzyjaźniony weterynarz i z wielką cierpliwością leczy podopiecznych Magdy: wkłada złamane skrzydełka w łupki, przemywa chore oczy, zapisuje różne kuracje. Zdarzają się też smutne przypadki, kiedy okazuje się, że nawet lekarz już nie może pomóc. Te wyleczone Magda oddaje osobom, do których ma całkowite zaufanie.

Magda Kalenik jest uczennicą VIII klasy. Trudno powiedzieć, że ma sprecyzowane zainteresowania, ma ich po prostu bardzo dużo. W tej chwili poważnie zajmuje się zoologią. Jest już asystentem w Sekcji Zoologii w Pałacu Młodzieży w Warszawie. To odpowiedzialna funkcja. Magda prowadzi zajęcia z grupą uczniów z V i VI klas. Przekazuje im wiedzę, którą sama zdobyła chodząc na zajęcia z zoologii. Wspólnie oglądają slajdy, atlasy ptaków, zwierząt, roślin, przygotowują referaty. Zajmują się także zwierzętami, które są w Pałacu: królik, nutrie, świnki morskie, papugi, chomiki, skoczki, żółw. Dzieci karmią je, sprzątają klatki, przynoszą im z domów specjalne przysmaki.

Zoologia nie jest jednak największą pasją Magdy, choć w tym roku przygotowuje się do olimpiady biologicznej. Swój przyszły zawód widzi gdzie indziej. Bardzo lubi historię, chce być archeologiem. I to nie byle jakim archeologiem, podwodnym, śródziemnomorskim. Poważnie traktuje swoje marzenia, które właściwie można już nazwać planami. Praca archeologa pod wodą jest niewątpliwie ogromnie ciekawa, ale wymaga bardzo dużej kondycji fizycznej. Magda o tym wie. Chodzi na treningi do Szkolnego Koła Sportowego, i pływa. Próbuje także nurkować, ale to jeszcze dla niej trudna sztuka.

Szkoła – bądź co bądź VIII klasa – sekcja zoologii, koło biologiczne w szkole, treningi sportowe, pływanie, dochodzi jeszcze angielski, no i opieka nad zwierzętami. Czy nie za dużo jak na jedną młodą osobę?

– To nie wszystko – mówi Magda. – Mam jeszcze muzykę, mnóstwo płyt. Lubię słuchać muzyki, choć za typowo młodzieżową nie przepadam... Piszę też pamiętnik, żeby później – kiedyś – wiedzieć, co się zdarzyło. Zapisuję w nim moje refleksje np. z wystawy, z przeczytanej książki, piszę w tym pamiętniku po prostu wszystko, co myślę.

– A życie towarzyskie?

– Jest w klasie paczka fajnych ludzi. Chodzimy razem do teatru, na wystawy, do kina. Urządzamy wspólne wypady rowerowe. Prywatek w tradycyjnym znaczeniu to nie robimy, nie lubimy. Są natomiast „imieniny". Jeśli ktoś z paczki ma imieniny to urządza je zawsze w sobotę. Każdy wymyśla jakieś specjalne atrakcje. Nie tańczymy. Raczej wolimy posłuchać muzyki, pogadać.

Magda ma przyjaciółkę, Izę. Chodzą razem do szkoły. Mieszkają w jednym domu. Magda mówi, że to prawdziwa przyjaźń i właściwie narodziła się niedawno, choć znają się prawie „od zawsze", bo jeszcze z piaskownicy. Różnią się pod wieloma względami i może właśnie to je łączy. Iza jest elegancka, schludna. Ma do Magdy często pretensje za jej niedbały sposób ubierania się. A Magdzie po prostu szkoda czasu na zaglądanie w lustro i sprawdzanie czy kosmyk włosów nie uciekł spod spinki, albo czy kołnierzyk równo leży.

HANNA MIERZEJEWSKA

Fot. K. Adamowski

NA CO WYDAĆ 100 TYSIĘCY ZŁOTYCH?

Kiedy ich koleżanki i koledzy ze śródrocznych Ochotniczych Hufców Pracy pojechali do Francji, zwiedzali jedne z najwspanialszych zabytków Europy, popijali colę i fotografowali się pod wieżą Eiffla, oni spędzali wakacje na obozie harcerskim w pobliżu Leszna. I wcale tego nie żałują. Jest tu fajnie.

Z krótkiej informacji prasowej dowiedziałam się, że podczas całego roku szkolnego pracują w OHP, gromadząc w ten sposób fundusz na letni odpoczynek. Pojechałam. Ciekawa byłam jak wygląda taki obóz, których w końcu wcale nie jest dużo. No i przede wszystkim w jaki sposób dysponują zarobionymi przez siebie pieniędzmi. Bo wiem z własnego doświadczenia, że niestety, jest to ogromnie trudne.

OBÓZ

Jest ich wśród obozowiczów siedmioro. Wszyscy są uczniami **III Liceum Ogólnokształcącego w Zabrzu i jednocześnie członkami śródrocznego OHP**. O obozie opowiadają chętnie, ale gdy ich spytałam o całoroczną pracę w hufcu stali się jakby bardziej małomówni. Odczułam nawet, że wolą rozmawiać na sto innych tematów, byle nie o OHP.

– Owszem, są u nas takie hufce. Wszyscy tam pracujemy – Rysiek spogląda na Ewę i... wycofuje się.

Nie ufają mi, czy po prostu nic nie mają do powiedzenia? Zdziwiłam się, bo przecież wiem, że szkoła właśnie z pracy tego hufca słynie. A tu coś nie tak. Co?

– Raz w miesiącu całą klasą wyruszamy do pracy – dodaje Ewa. I znów oczekiwanie kto następny.

Marek łamie się pierwszy.

– Śródroczne OHP jeszcze kilka lat temu było, tak nam się wydawało, bardzo cenne. Ciekawa praca, zarabialiśmy też nieźle. Konto na PKO ciągle rosło. Każdy więc chętnie pracował. Mimo różnych trudności wierzyliśmy, że będziemy coś z tego mieli. W perspektywie przecież były wycieczki, obozy, wieczorki. Na początku trudno było się upominać. Minęły jednak dwa lata i ciągle tylko obiecanki, jak to w przyszłości będzie wspaniale. Gdyby nam powiedziano, że jest to praca społeczna, nikt nie powiedziałby złego słowa, ale mieliśmy pracować za pieniądze...

Koledzy Marka potakują głowami i milczą.

– Boją się. Wolą uniknąć wszelkich szkolnych kłopotów – twierdzi Marek.

– Dyrektor podpisał umowę z wieloma instytucjami, więc **my musimy** pracować – włącza się do rozmowy Ewa. Dla szkoły jest to może wielka rzecz, ale żeby tak jeszcze nam – „fizycznym" – ta umowa coś dawała! To OHP to po prostu przymus. Mimo że pracujemy dużo, możemy tylko oglądać jak z roku na rok wzrasta nasze konto. **Na książeczce PKO mamy,** a może **tylko mieliśmy, ponad 100 000 złotych.** Niestety, nie korzystamy z nich. Chyba za nasze pieniądze bawią się inni. Kto? Nie wiemy, w każdym razie nie my. Nawet obiecane przed wakacjami dofinansowanie obozu gdzieś się rozwiało. Więc po co ta nasza praca? Czemu ona ma służyć? Czy tylko oszczędzaniu?

Członkowie szkolnego śródrocznego hufca pracy próbowali interweniować u komendanta, ale w odpowiedzi usłyszeli:

– Najpierw musicie zarobić, a później dopiero upominać się o swoje. Na razie nie mamy o czym rozmawiać! (???) A te sto tysięcy to niby co, obywatelu komendancie?

Kiedy wyjeżdżałam z obozu, miałam w notesie zapisane żale i pretensje młodzieży. Ich nazwiska i klasę. Nie wymieniam jednak wszystkich, lecz tylko jedno: Marka Popiela, on jeden na to się zgodził, bo...

– Ja już nie jestem uczniem tej szkoły, ale byłem i pracowałem tak jak wszyscy. Teraz już nie mam nic do stracenia, dwóją też mnie nikt nie będzie straszył. A oni są jeszcze uczniami i to rozumiem.

SZKOŁA

Dyrektor szkoły jest wprost oburzony. Twierdzi, że o czymś podobnym nigdy nie słyszał.

– To niemożliwe. Przecież ja tego nie robię dla siebie. To uczniowie z tego korzystają w ramach hasła „Wakacje za własne pieniądze".

Ewa zaś twierdziła, że za dwa miesiące pracy przy czyszczeniu zieleńców, sadzeniu kwiatów i porządkowaniu torów otrzymali do ręki... 40 zł.

– Finansujemy wycieczki. Na wycieczkę do Francji wpłaciliśmy 5000 zł. (dla wszystkich, nie dla każdego). Oczywiście z ich książeczki. Wszystko dla nich, nikt im tego nie zabiera. Dofinansowania obozu nigdy nie obiecałem, bo i dlaczego? Nie wszyscy byli naszymi uczniami, było tylko kilka osób. Marek Popiel nie jest już naszym uczniem, dlatego nie ma prawa mówić w ten sposób, a tym bardziej upominać się o cokolwiek. Banda gówniarzy. Jak mogli tak mnie oczernić!

Po czym dodaje: „Przez dwadzieścia lat jestem pedagogiem!"

Dyrektor jest wyraźnie zdenerwowany. Wychodzi z pokoju. Wraca z olbrzymią teczką dokumentów, pokwitowań i jeszcze innych papierków.

– Tu jest wszystko. Papiery mówią same za siebie.

Długie kolumny cyfr, podpisy. 5000 zł wpłacono na CZD, 5000 zł – wycieczka do Francji. ...Niewielkie to dofinansowanie jak na posiadany kapitał na książeczce.

– Zgoda, niewielkie. Miałem inne plany. Szkole przydałby się autokar. Chciałem nawet podsunąć taki pomysł. Wciąż jednak za mało mamy pieniędzy. Już trzy lata zbieramy i chyba nie uzbieramy.

Pomysł dyrektora o samochodzie dla szkoły młodzieży zupełnie nie przekonał.

– Autokar??? Nigdy nie myśleliśmy o tym. Trzeba chyba dziesięć lat uczyć się w liceum, żeby kupić autokar i móc później z niego korzystać. A przecież i tak wycieczek nie mamy. Czy w końcu pracujemy dla siebie, czy też dla przyszłych licealistów? My zarabiamy i te sto tysięcy powinno być do naszej dyspozycji, a nie pana dyrektora, który różne rzeczy wymyśla, tylko nie te, które są nam najbardziej potrzebne.

Młodzież jest rozżalona i na tych, co pojechali do Francji, i na cały OHP.

– Dlaczego do Francji można było dołożyć choć parę groszy, a do obozu nie? Pracowaliśmy tak samo. Ani lepiej, ani gorzej.

– W tym roku już się nie damy nabrać. Będziemy pracowali na letnich obozach, bo tylko one zapewniają pewną korzyść i wakacje na własny rachunek.

Na książeczce PKO Szkolnej Komendy OHP jest wpłacone ponad 130.000 zł. Bezużytecznych jak dotychczas, zamrożonych pieniędzy, z których nikt nie skorzystał i nie korzysta.

Marek jest studentem. Opuścił już to liceum podobnie jak Wojtek, Baśka i wielu innych, którzy pracowali i przyczynili się do uskładania tak pokaźnej sumy.

Ale i do nich można mieć pretensje, bo oprócz narzekań nie zrobili nic, by swoimi pieniędzmi dysponować. Gdzie jest rada szczepu, samorząd? Czy w szkole rzeczywiście nikt nie potrafi przedstawić sensownego planu wydatków, aby jednak przekonać pana dyrektora i nakłonić go do wyjęcia książeczki PKO z szafy pancernej?

W tym roku ukończą szkołę następni. Czy też będą mieli tylko pretensje i żal? Czy wszystko powtórzy się po raz drugi? Być może, ale pozostanie książeczka PKO z coraz większym kontem. Będzie się szkoła miała czym chwalić!

DANUTA ZIELIŃSKA

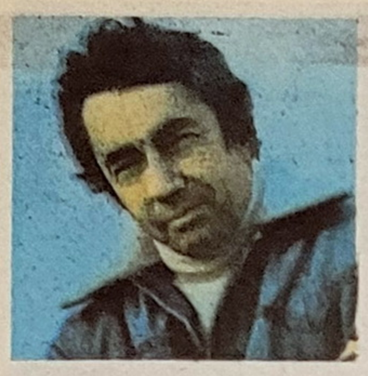

„11.40 GMT NEWPORT"

PRYWATNE REGATY

(3)

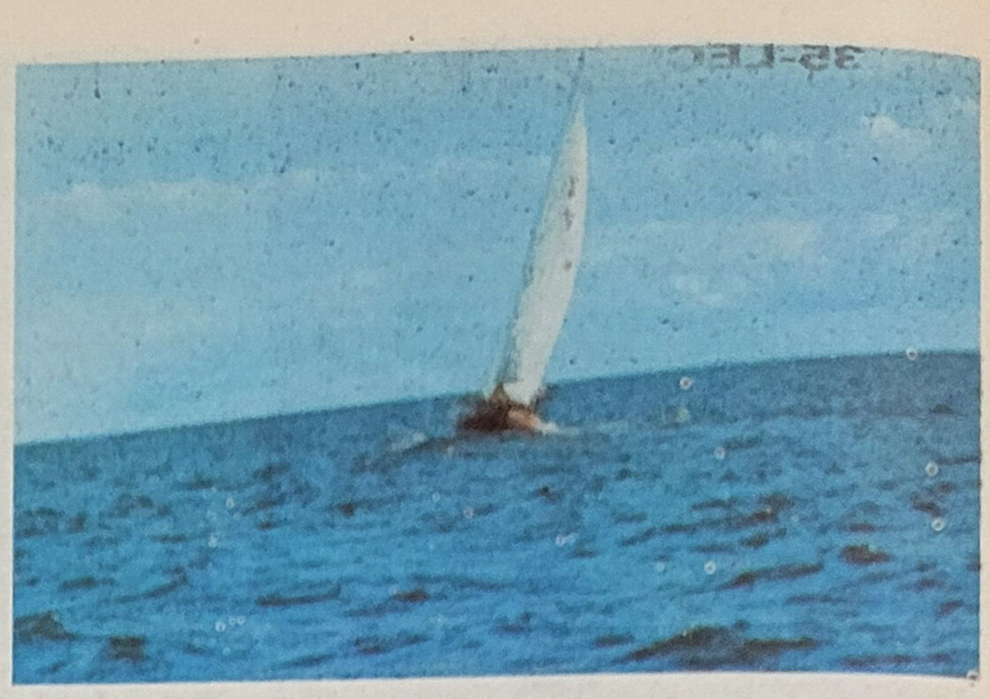

Zgubiliśmy się na amen. Mieliśmy jeszcze łączność tylko raz, potem przyszły burze, trzaski, zakłócenia. Przeliczyliśmy się z tym spotkaniem przy Bornholmie. Zbliżałem się do wyspy w nocy. Nawigacja, przy dużej ilości zwrotów jest mało dokładna i zresztą trudno o precyzję, kiedy jest się samemu. Jacht nie tylko zygzakuje, ale jeszcze schodzi z kursu, odchyłki raz w lewo, raz w prawo, błędy w sterowaniu przez ten „automat", który nie najlepiej spisuje się na słabym wietrze. Wszystko to powoduje, że po upływie doby pozycja jest, delikatnie mówiąc, bardzo przybliżona. W nocy trochę lepiej widać, łatwiej się określić, ale mgła utrzymywała się, ograniczając widoczność do jednej mili. Podchodziłem do Bornholmu nie słysząc jeszcze sygnałów mgłowych, ale miałem na radiokompasie Hammerodde, północny cypel wyspy na kursie. Wiatr przeszedł z NE na NNW, byłem gdzieś na wschód od Bornholmu i kursem poniżej wysepki Christianso, pracowicie wyrabiając sobie wysokość na chwilowych odkrętach wiatru, prawym halsem zbliżałem się do okrążenia cypla.

Wpatrywałem się w mgłę, oczekując świateł na lądzie, statków, kutrów, sieci, których tam pełno, wreszcie Jurka, który, jeśli mi daleko nie uciekł, powinien tu gdzieś być. Mgła pod wyspą gęstniała, sygnały Hammerodde coraz wyraźniej bębniły w głośniku, jakby to było tuż, tuż. Słyszałem też coraz bliższy sygnał mgłowy nautofonu, który jest przy samej latarni. Ujrzałem kilkadziesiąt metrów z lewej słabe światła na lądzie; latarni jeszcze nie było widać. Włączyłem radiokompas. Jacht zbliżał się skośnie do niewyraźnego, kamienistego brzegu wyspy, który w tym miejscu jest dość równy. Jakiś budynek, wydawało mi się, że już rysuje się cypel na kursie, już zacząłem lekko kręcić w lewo, luzować żagle, nabierać szybkości, gdy coś podszepnęło mi, by schylić głowę i popatrzeć pod nisko wiszący, dolny lik wyluzowanej genoy. W pierwszym momencie dojrzałem na kursie długą, ciemną kreskę, na której prawym końcu było białe światło. Statek! Blisko! Idzie od lądu, z lewej ku prawej. Sterem poprawiłem, jacht skręcił jeszcze bardziej w lewo i wtedy myśl jak błysk – statek nie mógł wyjść ze skał wysp, tu nie ma portu, poza tym nie widać zielonego światła pozycyjnego, poza tym białe światło musiałoby być wysoko, a nie tuż pod kreską. Ta kreska to kamienie! Kamienne molo! Na kursie, 20 metrów przed dziobem.

Czułem jak cierpnę, jak serce skacze mi do gardła. Kątem oka dostrzegłem ogromny głaz po prawej burcie, drugi, trzeci, pełno kamieni. Już nie można kręcić w prawo, brzeg z lewej – 30 metrów. Pułapka! A tu 7 węzłów razy 5 ton rozpędzonego jachtu. Matko Boska Częstochowska, ratuj! Rzuciłem się całym ciałem na rumpel, pchnąłem go w prawo, jacht odpada, kręci w lewo, kręci kółko. Ciasne na parę metrów, a w środku tego kółka, wyłaniający się z fal, mokry wierzchołek wielkiego kamienia! „Ogar" wykonywał cyrkulację, a ja czekałem cały wilgotny i zmrożony na grzmot uderzenia, na chrzęst i łomot spadającego masztu, który tego nie ma prawa wytrzymać.

Zanim kółko się zamknęło, „U" nie zdążyło zamienić w „O" wyprostowałem sterem i omijając lewą burtą głazy, które poprzednio widziałem z prawej, teraz starałem jak najbardziej oddalić się od brzegu. Emocja opadała, a mnie się chciało to śmiać, to płakać.

Płynąłem wolno, z wyluzowanymi żaglami i zastanawiałem się jak to się stało. Przy Hammerodde brzeg jest równy, nie ma kamieni, zawsze przechodzimy tamtędy parę metrów, woda głęboka. To co to za cypel? Oglądam mapę tej tak dobrze mi znanej wyspy. Znałem na pamięć konfiguracje brzegów, światła latarni, sygnały radiowe i mgłowe.

Oczywiście, nie sprawdziłem charakterystyki sygnału mgłowego. To cypel inny, a do Hammerodde jeszcze kilkanaście mil! Włączyłem radiokompas – Hammerodde nadal w tym samym namiarze. Co za idiota! Tak zawsze uczyłem innych, że dobry nawigator, to taki, który sprawdza, a jak się upewni, to sprawdza jeszcze raz, że nie wolno opierać się na pamięci, a sam jak baran chciałem taranować wyspę w połowie. Wystarczy uświadomić sobie, że 2 minuty czasu, poświęconego na zajrzenie do spisu sygnałów, ma pewną przeliczalną wartość. I w jakiej proporcji stoi to do wartości jachtu, wynoszącej prawie 2 miliony złotych? W spotkaniu z kamieniami, przy tym stanie zafalowania i kierunku wiatru w stronę brzegu, „Ogar" musiałby się zamienić w kupę drzazg i złomu.

Siedziałem zdruzgotany, niezdolny do działania, zbrzydzony do siebie. Świadków nie było, a przecież czułem jak ogarnia mnie gorąca fala wstydu.

Wracaliśmy przez Zalew do Szczecina, w pięknej, słonecznej pogodzie, pod kolorowymi spinakerami. Jak w sielance. Obaj okrutnie zmordowani, ale jakże pełni satysfakcji. Ukończyliśmy te regaty, spotykając się w główkach Świnoujścia, nad ranem trzeciego dnia.

Pytano nas o wynik, to najbardziej wszystkich intrygowało. Jurek gentelmen, wskazał na mnie palcem.

– O długość jachtu lepszy był „Ogar".

Niestety, nie mogłem tego potwierdzić, mam na ten temat odmienne zdanie.

Czy tak, czy inaczej – sprawa została między nami.

cdn

KAZIMIERZ JAWORSKI

Fot. **S. Rakowski**

REDAKCYJNA POCZTA

Trudny wiek

Chciałam zabrać głos w sprawie „Karen", nr 100 „ŚM". Karen pisze, że jej ciągłym towarzyszem są łzy. Uważa, że głównym powodem tego jest brak przyjaciół. Jedną z przyczyn łez na pewno jest brak kumpli, ale nie tylko. Sądzę, że jesteś mniej więcej w wieku 12–16 lat, a ten wiek, to trudny okres w życiu wielu dziewcząt. Ty chętnie idziesz do szkoły – twoje koleżanki nie. To wszystko wyjaśniono „naukowo". Wiek, w którym się znajdujesz, jest wiekiem rozczarowań, pierwszych miłości, przyjaźni itd. Nie pomyśl sobie, że udaję nauczyciela. Wcale nie. Piszę to wszystko, by Ci pomóc. Ja też mam problemy. Mam koleżanki, kolegów, przyjaciół, sympatie, fajne ciuchy, świetną siostrę. Ale to wszystko nie daje mi szczęścia, ponieważ chciałabym zdobyć uczucie innego chłopca. Mam bardzo dużo obowiązków pozalekcyjnych i chyba dlatego nie przejmuję się wszystkim tak mocno jak Ty. Radzę Ci więc (jeśli nie należysz) wstąp do ZHP, jeśli masz głos – do chóru, i często się uśmiechaj. Jeśli Cię denerwuje podniesiony głos rodziców, wspomnij im o tym przypadkowo. Gdy zobaczysz ładnego chłopca, uśmiechaj się najładniej jak umiesz i postaraj się go poznać. A w ogóle to napisz do mnie, (adres znany redakcji). I zapamiętaj. Nie rozżalaj się za bardzo!

14-letnia „Dolores"

Nos

Nie mogę wytrzymać z rozpaczy, bo ciągle słyszę: pyrciata, kapelusz, kinol, ogórek itp. A to wszystko z powodu mojego nieszczęsnego nosa. Mój nos jest bardzo brzydki, szeroki i zadarty. Pomóżcie mi, co mam robić? Proszę o adres przychodni, gdzie mogłabym nos poprawić. Moi rodzice są gotowi zgodzić się nawet na wysoką opłatę, ale boją się o moje zdrowie.

Beata

OD REDAKCJI: Przykre jest to, że masz takich nietaktownych kolegów. Dobrze wychowani ludzie nie robią komentarzy na temat wyglądu zewnętrznego. Na te niewybredne uwagi powinnaś się uodpornić, staraj się w ogóle ich nie dostrzegać, jest to najlepsza i wypróbowana metoda. Plastyczną operację nosa można przeprowadzać od 18 roku życia, w sporadycznych i wyjątkowych wypadkach w 17 roku życia. Ponieważ Ty jesteś nieco młodsza, na operację będziesz musiała poczekać. Niezależnie od tego doradzamy Ci wizytę u chirurga, który przeprowadzi rozmowę z Tobą i Twoją mamą, a między innymi określi jaki termin operacji będzie dla Ciebie najstosowniejszy. Dzięki takiej wizycie odzyskasz równowagę psychiczną, bo mając świadomość rychłej zmiany wyglądu zewnętrznego łatwiej będziesz mogła przetrwać okres dzielący Cię od zabiegu. Oto adres, gdzie można robić plastyczne operacje nosa: Ośrodek Chirurgii Estetycznej, ul. Marszałkowska 84/92, 00-693 Warszawa, tel. 21-66-26. Na pierwszą wizytę do chirurga można się zapisać telefonicznie. (bs)

PRZEPRASZAMY!

W 119 „ŚM" rozszalały się – tym razem wyjątkowo – drukarskie chochliki. W artykule pt. „EX LIBRIS" zamieszczonym na stronie 2 zamiast „najnowocześniejszy" powinno być **najwcześniejszy**. W tytule felietonu na tej samej stronie chodzi po prostu o **dobry** zwyczaj nie zaś „dodry".

Ale to nie wszystko! Czytelników musimy poinformować, że ilustracje na tej stronie „ŚM" pochodzą z książki opracowanej przez Marię Grońską pt. „Pięć wieków ekslibrisu polskiego"; nikt więc ich w redakcji nie rysował.

Jeszcze raz przepraszamy.

KOSMOLOGIA JEST JAK MIASTO...

O nieskończoności wszechświata, modelach kosmologicznych, astronomicznej wyobraźni i szukaniu prawdy – z astrofizykiem dr MARKIEM ABRAMOWICZEM

rozmawia TOMASZ KŁOSOWSKI

„Wszechświat poznajemy głównie za pośrednictwem światła i innych fal elektromagnetycznych. Docierają do nas w znikomych ilościach..."

– Panie doktorze, gdy my, ludzie spoza nauk ścisłych zastanawiamy się, czy wszechświat jest skończony, czy nieskończony, czy miał początek, czy go nie miał, dostajemy tylko zawrotów głowy... A tymczasem podobno astronomowie, kosmologowie, fizycy to wszystko wiedzą...

– Rzeczywiście, wiemy dużo, choć nieprawda, że wszystko. Ale konkretne pomiary wskazują, że wszechświat jest nieskończony i otwarty. Mamy też obserwacyjne dowody na to, że miał początek, że narodził się w wyniku czegoś w rodzaju wybuchu pierwotnego skupiska materii...

– Do tego, w myśl współczesnych teorii kosmologicznych, materia podobno rodzi się z niczego. Z tym już zupełnie trudno się pogodzić...

– Mnie np. trudniej pogodzić się z myślą, że materia miałaby istnieć wiecznie... To, jak się ona rodziła i jak wyglądała na początku, nie jest zresztą dla nas jeszcze dostatecznie jasne, choć dociekania na ten temat cieszą się szczególnym wzięciem. Nie wnikając w nie tutaj, chcę tylko zwrócić uwagę, że nasza potoczna intuicja nie jest w tych sprawach dobrym przewodnikiem. Wierzę, że z tymi czy owymi stwierdzeniami wielu ludziom trudno się pogodzić. Ale dla badaczy liczą się fakty. Gdy one na coś wskazują – godzimy się na to.

– Mówi Pan o tych sprawach tak, jakby to wszystko było dla Pana całkiem naturalne...

– Bo jest naturalne. Choć, jak się tak głębiej zastanowić, jest w tym coś niezwykłego, że wszechświat rodzi się i istnieje tylko raz... Ale to są kwestie dla filozofów, a ja jestem astrofizykiem. Mam więc mówić o tym, jaki wszechświat jest naprawdę, jakie w nim obowiązują prawa, tak jak ktoś mówi, ile dajmy na to zebrano w tym roku jęczmienia z hektara. Dla mnie wszechświat istnieje rzeczywiście i on po prostu jakiś jest...

To znaczy, ja się od wniosków filozoficznych płynących z mojej nauki wcale nie odcinam. A nawet interesują mnie one najbardziej. Tylko, że są one na końcu... A najpierw są obowiązujące w tej dyscyplinie reguły gry...

W 35-LECIE LWP

POLEGAJ JAK NA ZAWISZY

Pierwsze sportowe starty żołnierzy naszego ludowego wojska kronikarze odnotowali w roku 1943. W obozie sieleckim, jeszcze przed wymarszem pod Lenino, doszło do międzynarodowego meczu piłkarzy WP; drużyna I Korpusu spotkała się z futbolistami Oficerskiej Szkoły Armii Radzieckiej im. Woroszyłowa, zwyciężając 2:1. Później podobnych spotkań było więcej. Na całym bojowym szlaku I i II Armii, z żołnierzami sojuszniczych wojsk, z reprezentacjami oswobodzonych miast.

W tych trudnych dla każdego chwilach tylko sportowi fanatycy mogli organizować tego typu rozgrywki. Również fanatycy podejmowali się odbudowy sportu w wyzwolonym, ale przecież leżącym w gruzach kraju. Byli nimi przede wszystkim ludzie w zielonych mundurach. Niepomni na braki, niepomni na niebezpieczeństwa rozpoczynali jakże potrzebną działalność. A przecież hersztowie grasujących wówczas band zdawali sobie doskonale sprawę ze znaczenia kultury fizycznej w biologicznym odrodzeniu wyczerpanego wojną narodu. Gazety z tego okresu pełne są notatek o ohydnych mordach dokonywanych na żołnierzach WP, którzy byli jednocześnie instruktorami wf. 31 lipca 1946 roku w jednym z miast Pomorza Zachodniego zastrzelono w biały dzień ppor. Edwarda Krotosińskiego. W równie tragiczny sposób zginęli dwaj instruktorzy wf, ppor. Franciszek Kostecki i por. Jan Daniłło, jadący na Ziemie Zachodnie, by tam rozwijać sport. W drodze do Szczecina zostali siłą wyciągnięci z wagonu i zakłuci bagnetami. A jednak przy niemal wszystkich jednostkach WP powstały wojskowe kluby sportowe. Jednym z pierwszych był WKS „Zawisza" Bydgoszcz.

Pionierskie czasy

Początkowo, co tu ukrywać, klub istniał tylko z nazwy. Brakowało najprostszego sprzętu; w magazynowym rejestrze odnotowane były... dwie piłki. Ale to był rok 1946. I rację miała por. M. Ziemnicka, która na łamach „Polski Zbrojnej" napisała, że przed „Zawiszą" lata chwały. Nie przypuszczała jednak chyba, że klub stanie się jednym z najznakomitszych nie tylko w naszym kraju.

Rok 1947. Najprężniejszą sekcją stanowią piłkarze. Grają w klasie B. Wkrótce awansują do klasy A, a następnie, już pod wodzą Czesława Brzechwy, trenera i zarazem kapitana drużyny, aż do II ligi. Ale jednocześnie dochodzą także do głosu lekkoatleci, gimnastycy, koszykarze, szermierze i bokserzy. Do dziś nie wiadomo nad Brdą, jakim cudem założyciel sekcji bokserskiej, Czesław Mysłajek potrafił zdobyć znakomity jak na owe czasy bokserski sprzęt i szybko doprowadzić swoich chłopców do mistrzowskich tytułów. Największym jednak wydarzeniem w życiu zawiszaków staje się olimpijski awans ich wioślarza, Stanisława Wieśniaka. On to właśnie swym występem w Helsinkach wytycza szlak dziesiątkom późniejszych reprezentantów Pomorza.

Trudno jest wyliczyć wszystkie sukcesy klubu w pierwszej piętnastce lat jego istnienia. Rekordy WP, kraju, Europy; wspaniałe występy bokserów Lecha Leissa i Edwarda Dampca, długodystansowców Alojzego Graja i Kazimierza Zimnego, ciężarowca Krzysztofa Becka, strzelców Stefana Masztaka i Henryka Górskiego.

Zdzisław Krzyszkowiak (z prawej) i Kazimierz Zimny przysporzyli wiele chwały nie tylko swojemu macierzystemu klubowi

Era Krzyszkowiaka

Na mistrzostwach Europy w Sztokholmie zdobywa aż dwa złote medale. Swymi występami zaćmiewa sławę Anglików Eldona i Marrimana. Nic więc dziwnego, że w dorocznym plebiscycie prasy europejskiej „Złoty Krzyś" zostaje wybrany sportowcem nr 1 naszego kontynentu. Ale nawet te sukcesy zbladły wobec kolejnego wyczynu Zdzisława Krzyszkowiaka. Na Igrzyskach Olimpijskich w Rzymie (1960) w biegu na 3000 m z przeszkodami zdobywa pierwszą lokatę. Zawiszanin nie poprzestał na olimpijskim laurze. W kilka miesięcy później atakuje rekord świata, który w międzyczasie odebrał mu słynny przeszkodowiec radziecki, Taran. Do historycznego sukcesu doszło w Wałczu. Po samotnym biegu, przy akompaniamencie szalejącej burzy, Krzyszkowiak odzyskuje utracony tytuł.

Baza i ludzie

6 medali olimpijskich, około 20 z MŚ, ponad 70 z ME, ponad pół tysiąca indywidualnych mistrzów kraju – oto dotychczasowy dorobek „Zawiszy". Wymieniliśmy tylko kilka czołowych postaci bydgoskiego klubu. A któż nie słyszał o sprinterce Teresie Ciepłej (złoty i srebrny medal olimpijski), o trójskoczku Janie Jaskólskim, o wioślarzu Alfonsie Ślusarskim, o średniodystansowcu Witoldzie Baranie, rekordziście Europy na 1 milę...

Dziś na ich miejsce przyszli nowi mistrzowie, a byli championi szkolą młodzież. Witold Baran trenuje np. czwórboistów; startowali nawet w krajowym finale. Podobne zajęcie ma Zdzisław Krzyszkowiak.

Major Leon Spychał, jeden ze współzałożycieli klubu, nie myślał zapewne przed laty, że „Zawisza" dojdzie do takiej potęgi. Również i pod względem bazy. Tam, gdzie jeszcze w 1955 roku był sosnowy las i piach, dziś widnieje cały kompleks boisk, kortów, hal, urządzonych i wyposażonych w aparatury, o jakich mogą jeszcze marzyć niektóre naukowe placówki. Doświadczeni trenerzy i baza to silny fundament pod przyszłe osiągnięcia zawiszaków, pod przedłużenie złotego wieku klubu. Być najsilniejszym nie tylko w mieście nad Brdą i dobrze służyć temu miastu – oto aktualny cel kierownictwa WKS. Bo przecież jego patron, słynny Zawisza z Grabowa, był – jak pisał cesarz Zygmunt w liście do księcia litewskiego Witolda – najdzielniejszym z wojowników.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. **M. Szymkowski**
i L. Fidusiewicz

Andrzej Szajna „Zawisza" Bydgoszcz jest aktualnie najlepszym polskim gimnastykiem i naszą nadzieją na igrzyska Moskwa'80

Dr Marek Abramowicz

– ...dla nas, ludzi z zewnątrz, często niezrozumiałe. I gdy tylko astronomowie serwują nam jakąś rewelację, zaraz pytamy: „Skąd oni to wiedzą. Gdzie tu jest granica między teorią, a tym, co istnieje naprawdę? Przecież to wszystko jest tak daleko, gdzieś na granicy poznania... I niczego nie można dotknąć, a często nawet zobaczyć..."

– To prawda, że my, astronomowie, poznajemy materię jakoś bardzo pośrednio. Inaczej, niż fizycy, którzy mają ją w swych laboratoriach i mogą z nią robić niemal, co zechcą. Wszechświat poznajemy głównie za pośrednictwem światła i innych fal elektromagnetycznych. Docierają do nas w znikomych ilościach. O istnieniu dalekiej galaktyki często informuje nas tylko zaczernienie kliszy rentgenowskiej. I do tego promieniowanie musi pokonać na drodze do Ziemi wiele przeszkód, jak choćby pył międzygwiazdowy czy wreszcie atmosferę. Oglądamy więc wszechświat niczym przez brudne szyby. I musimy poznawać te wszystkie „brudne szyby", a jednocześnie do wszelkich wyników obserwacji podchodzić bardzo ostrożnie. Zawsze są w nich błędy, tyle, że z ich rozmiarów zdajemy sobie sprawę. Gdy mówimy, że w galaktyce jest 100 miliardów gwiazd, znaczy to, że może ich tam być 30 mld lub 150. Ale też na pewno nie jest bilion! Takie to są kłopoty naszej dyscypliny, ale gdy się uwzględnia to wszystko, o czym tu mówiłem – nie ma chyba powodu, by sądzić, że osiągamy mniej prawdziwe wyniki od tych, jakie tu, na Ziemi osiągają fizycy. Tak samo jak oni, poznajemy realną, choć często nienamacalną rzeczywistość.

A opisujemy ją przy pomocy modeli matematycznych. I bywa tak, że niektórzy badacze przestają odróżniać te modele od samej rzeczywistości fizycznej. Jeden z matematyków nazwał to „chorobą Pigmaliona"...

– Podobno rygor matematyczny w astronomii i astrofizyce jest ostry. Ludzie na pierwszym roku studiów „padają jak muchy". Czy w takiej sytuacji może się w pańskiej dziedzinie na coś przydać np. wyobraźnia?

– Nawet bardzo! To prawda, że niektórzy badacze, zwłaszcza młodsi, mają zbyt matematyczne podejście do świata. Udowodnić coś ściśle – to ich najbardziej bawi. Ale z doświadczeniem przychodzi u niektórych właśnie pewien rodzaj wyobraźni. Zdolność przewidywania tego, czego nie odkryło się jeszcze na papierze i na niebie. To jest chyba właśnie talent fizyka... Ci, którzy nie trzymają się kurczowo matematycznej ścisłości, ale mają tę wyobraźnię, są w tych naukach najbardziej płodni. Kto jej nie ma – często wchodzi w ślepe uliczki i w rezultacie mamy mnóstwo prac, które nikomu się na nic nie przydadzą.

– A czy to, co robi astrofizyka czy kosmologia, przydaje się jakoś na Ziemi?

– Konkretnie, np. w technologii, w tej chwili nie. Ale gdy Kopernik tworzył swój system świata, nie myślał ani przez moment, że to się da jakoś praktycznie zastosować. A jednak wraz ze swymi następcami zapoczątkował rewolucję naukową i technologiczną...

– ...która m. in. sprawiła, że większość ludzi nie ma po co patrzeć na niebo. Dawnemu pasterzowi czy podróżnikowi gwiazdy były bardziej potrzebne, niż człowiekowi dzisiejszemu. Czy to nie jest tak, że astronomowie zamknięci na swych „wieżach z kości słoniowej" dokonują odkryć, o których większość ludzi naszej kosmicznej ery nie ma większego pojęcia?

– Chyba nie. Warszawscy astronomowie zorganizowali cykl odczytów dla licealistów, uczestniczyłem w nich i byłem zaskoczony wiedzą niejednego ósmoklasisty. Znam wiele środowisk i wszędzie jest podobnie. Oczywiście, szereg pojęć, zwłaszcza trudniej uchwytnych dla potocznej intuicji, jeszcze się w świadomości tzw. ogółu nie zdążyła zadomowić. Przyjdzie na to czas. Gdy kiedyś Kepler ogłosił, że planety krążą po elipsach, nie po kołach, nawet współczesny mu Galileusz nie mógł tego pojąć. Dziś jest to zrozumiałe dla każdego wykształconego człowieka. Tak to już jest, że prawdy w danej chwili rewolucyjne są dostępne nielicznym jednostkom. I niekoniecznie zaraz muszą to być geniusze – raczej ludzie, którzy w swej specjalności zagrzebali się bez reszty i jej poświęcają każdą chwilę...

– W dawnych modelach kosmologicznych kręciły się wokół Ziemi dziwaczne sfery. Dziś mamy przed sobą wizję wszechświata wybuchającego. Niewiele tu widać wspólnego. Jakimi drogami szliśmy od tamtych wyobrażeń do obecnych? Czy wiedzę o niebie da się porównać do gmachu, w którym każda epoka dokłada swoją cegiełkę, wspierając ją o poprzednie? Czy może trzeba przyjąć, że rozwój kosmologii – to burzenie, ciągłe zaprzeczanie dawnemu?

– Kosmologia przypomina raczej miasto, które się wciąż rozbudowuje, gdzie niektóre domy trzeba burzyć czy przerabiać, przebijać nowe arterie, ale też pewne pozostawić. Nie można mówić, że zaprzeczanie jest istotą tej nauki. W ogóle z tym zaprzeczaniem różnie bywa... Ptolomeusz mówił, że Ziemia jest w środku świata, Kopernik powiedział, że jest tam Słońce. To drugie uznano za prawdziwe, to poprzednie – za fałszywe, i tak sądzono przez długi czas. A z punktu widzenia dzisiejszej mechaniki są to po prostu równouprawnione opisy ruchu ciał niebieskich. Więc nie zawsze jest tak, że nowe zaprzecza staremu. Konieczna jest natomiast gotowość zaprzeczania, postawa wątpiąca. Właściwie bez tej postawy nie wyobrażam sobie swego zawodu...

– A jak wygląda droga do niego, tak odległego od wszystkiego, co ziemskie?

– Zaczyna się chyba od spostrzeżenia, że niebo jest takie frapujące i dziwne. Później buduje się teleskop. I niektórzy na takiej, pouczającej zresztą, a i dla nauki pożytecznej zabawie w astronomię, poprzestają. Ale są jeszcze tacy, którzy chcą się dowiedzieć, jak to wszystko naprawdę jest zrobione...

– Ale tego się przecież ostatecznie nigdy nie dowiadujemy. Czy ludzie nie bywają potem rozczarowani?

– Tak, ale to są raczej rozczarowania sobą. Gdy człowiek jest w liceum, myśli: zostanę fizykiem, astronomem, dokonam rewolucji, jak Newton. W takich przekonaniach utwierdza ludzi fakt, że interesując się tymi sprawami są w przedmiotach ścisłych dużo lepsi od rówieśników. Później, już daleko po studiach, przychodzi kontakt z tymi, którzy rzeczywiście są na froncie badań. I okazuje się, że to, co sami robimy, nie jest tak rewolucyjne, jak to, co robią inni. Ale nie ma rozczarowań płynących z samego faktu uprawiania tej nauki. Przynajmniej ja się w swoim otoczeniu z czymś takim nie spotkałem. Fizyk czy astronom ma w każdej godzinie swego życia tyle do policzenia i przeczytania... Tak wiele jest jeszcze do rozwiązania zagadnień, często dla nauki nie najważniejszych, ale mimo to ciekawych. To wieczne szukanie jakiejś prawdy staje się stylem życia i źródłem ogromnej satysfakcji. O ile oczywiście traktuje się naukę serio. Nie wszyscy ją tak traktują. Ale o takich nieprawdziwych astronomach i nieprawdziwej astronomii chyba nie warto mówić...

Fot. **autora**

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (44)

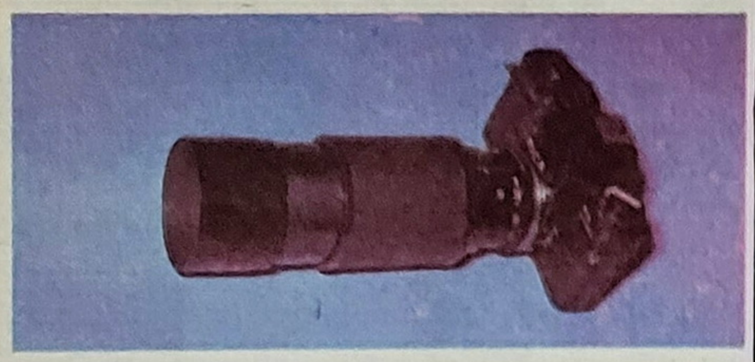

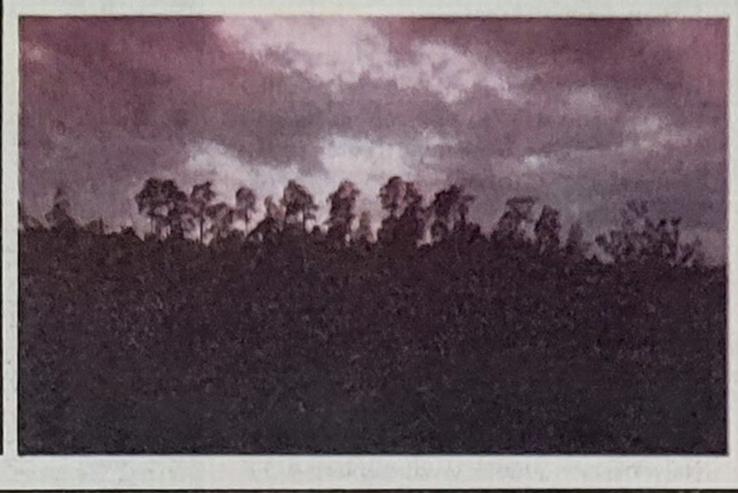

Obiektywy szerokokątne

O obiektywach długoogniskowych już pisaliśmy. Wypada więc wreszcie wspomnieć i o obiektywach o ogniskowej krótszej niż standardowa (która dla aparatów małoobrazkowych wynosi około 50 mm, a dla formatu 6×6 f=80 mm). Z tego zresztą wynika, że obiektyw standardowy z aparatu małoobrazkowego wmontowany do wielkoformatowego staje się... szerokokątnym.

Wróćmy jednak do popularnych aparatów małoobrazkowych. Z dostępnych niekiedy na rynku obiektywów szerokokątnych stanowiących wyposażenie dodatkowe całej rodziny Practic dokupić można Flektogon 2,8/35 (max. otwór przysłony tzw. światło 2,8, ogniskowa 35 mm) o kącie widzenia 62°, lub Flektogon 4/20, którego kąt widzenia wynosi 193°. Ponieważ obiektyw ten rejestruje kąt większy od 180° zaliczany jest już do obiektywów o nazwie „rybie oko", wśród których prym wiodą japońskie Fisheye-Nikkor 5,6/6 o kącie widzenia 220°! Zdjęcia jednak są bardzo zdeformowane, a zarejestrowane są na klasycznej klatce 24×36 w postaci koła o średnicy 22 mm.

Wszystkie obiektywy szerokokątne zniekształcają, ale często stanowić to może pożądany efekt techniczny (patrz reportaż Marka Szymańskiego z targu psów w ub. miesiącu.). Nienadużywanie i stosowanie tylko w koniecznych sytuacjach czyni je bardzo przydatnymi. W terenie często stosuje się podczas zdjęć krajobrazowych, aby uchwycić „i jezioro z lewej i wydmę z prawej", wewnątrz gęstwiny leśnych drzew, w krzakach parku. Na zdjęciach pokazujemy obiektyw szerokokątny Elmarit o ogniskowej 24 mm prod. Leitz-Wetzlar oraz teleobiektyw o zmiennej ogniskowej od 80-200 mm wyprodukowany w kooperacji z Japonią, a także zdjęcia, które nimi wykonano stojąc w odległości 200 m. od ściany lasu.

Tekst i zdjęcia
Marek Ostrowski

UL W OBIEKTYWIE

„JAK FOTOGRAFOWAŁEM PSZCZOŁY"

– opowiada TREAT DAVIDSON z USA

Walka królowych

„Kiedy moja pasieka rozrosła się już do pokaźnych rozmiarów i poznałem życie oraz zwyczaje pszczół, postanowiłem podzielić się swoimi obserwacjami – słowem postanowiłem fotografować życie ula. W tym celu w jednym z pomieszczeń mojego domu zainstalowałem studio, w którym umieściłem ule specjalnie przerobione do celów fotograficznych. Jedną ze ścian miały wykonaną ze szkła, a wlot połączony był z otworem w ścianie, tak, aby pszczoły mogły swobodnie wylatywać na poszukiwanie nektaru i wracać z ładunkiem.

W studio udało mi się zrobić wiele ciekawych zdjęć.

W chłodne deszczowe dni, kiedy poirytowane brakiem zajęcia pszczoły nie wyfruwały z ula, odwiedzał mnie mój przyjaciel i wspólnie układaliśmy filmowe opowieści. Pewnego razu schwycił on jedną z pszczół i nie bojąc się ukąszenia położył ją sobie na dłoni. Zanim przygotowałem kamerę pszczoła szybko uciekła. Chwytaliśmy potem wiele owadów, lecz żaden nie miał jakoś ochoty siedzieć spokojnie na ręce i pozować do zdjęć, ani tym bardziej nie zamierzał ukłuć przyjaciela. Wszystkie natomiast prawdopodobnie zaniepokojone obecnością aparatu fotograficznego atakowały mnie – fotografa! Sytuacja stała się groźna. W ogromnym popłochu musieliśmy zwinąć sprzęt. Już w sąsiednim pokoju, badając pod szkłem powiększającym, zauważyliśmy żądło wbite w miech obiektywu! Jeszcze przez kilka minut mięśnie żądła próbowały wcisnąć się głębiej i wstrzyknąć większą ilość trucizny. Czyżby pszczoły nie lubiły się fotografować?

Moje pszczoły wydawały się najbardziej zadowolone wtedy, gdy miały zajęcie. W ciepłe dni zaczynały pracę wcześnie rano i pracowały do późna, bardzo przejęte swoją rolą. Zauważyłem, że jedyną rzeczą, której pszczoła nie znosi w czasie pracy jest przeszkoda; z furią atakuje zarówno zwierzęta jak i martwe przedmioty stojące na jej drodze. W moim studio przeszkodą taką była szyba. Pszczoły usiłując frunąć w kierunku światła rozbijały się o nią i codziennie rano musiałem wymiatać spod szyby ich martwe ciała. Pewnego razu jedna wyglądająca na martwą zaczęła się poruszać i z moją pomocą powróciłą do ula. Natychmiast znalazła się opiekunka, która podała chorej nektar i pomogła się jej oczyścić. Karmienie powtarzało się do czasu, gdy chora była już zdolna do lotu. Epizod ten dowodzi jak rozwinięty jest wśród pszczół instynkt opiekuńczy.

Jak się wkrótce miałem przekonać, pszczoły posiadają również instynkt rywalizacji.

Chociaż robotnice robią zawsze kilka komórek dla przyszłych królowych, natura wymaga, aby rój miał tylko jedną królową-matkę. Królowa, która się pierwsza wylęgnie, otwiera pozostałe kwatery z królewskimi jajami i niszczy rywalki. Jeżeli jednocześnie wykluje się kilka królowych, walczą ze sobą o dominację. Wykonałem doświadczenie polegające na tym, że do małego szklanego naczynia włożyłem dwie dorosłe królowe. Natychmiast przystąpiły do walki. Wysuwały żądła i zadawały sobie nawzajem mocne ciosy. Po dziesięciu minutach rozłączyły się na jakiś czas i w przeciwnych rogach naczynia trochę odpoczywały. Kiedy zaczęła się czwarta runda jedna z królowych była już bardzo osłabiona i wkrótce wyzionęła ducha. Ze zwycięzczynią stało się niestety to samo. Całą tę pasjonującą walkę udało mi się sfotografować.

Każda pszczoła-robotnica ma dwa żołądki. Jeden jest jej własnym żołądkiem, drugi zaś to po prostu worek, gdzie magazynowany jest nektar kwiatowy. Kiedy pszczoła wraca do ula – oddaje nektar, zjada trochę miodu i odpoczywa. Często zdarza się i tak, że bez odpoczynku odsyłana jest przez pszczołę dyżurną po następny ładunek. Wracając po odkryciu nowego bogatego źródła nektaru pszczoła zachowuje się dosyć dziwnie, krąży w podnieceniu tak, aby zwrócić na siebie uwagę innych. Rodzaje pląsów i długości ich trwania są różne. Tancerka od czasu do czasu zatrzymuje się, aby rozdawać próbki zebranego przed chwilą nektaru. Pszczoły obserwatorki dotykają ją wtedy czółkami.

Robotnica wykorzystuje tu specyficzny system sygnałów. Jej podbrzuszе zawiera organ zapachowy umieszczony w torebce ze skóry. Tańcząc i wydzielając zapach mobilizuje inne pszczoły, jak gdyby wołała: „Chodźcie prędko tutaj!" Wykonano doświadczenie polegające na przypinaniu magnesów do brzucha pszczoły i notowaniu na oscylografie częstotliwości i intensywności ruchów. Stwierdzono, że im bogatszy nektar odkryły pszczoły, tym bardziej taniec ich przypominał kołysanie się, a czas trwania tańca i liczba wykonywanych ruchów podawały informacje o odległości nektaru od ula. Na przykład kołysanie trwające 1–1,2 sekundy wskazywało odległość 900 metrów.

Życie pszczoły podczas bardzo ruchliwego sezonu trwa 4 – 8 tygodni. Można więc śmiało powiedzieć, że robotnice zapracowywują się po prostu na śmierć. W miarę upływu czasu ich delikatne skrzydełka kruszą się, stają się coraz mniejsze i w końcu nie mogą już udźwignąć owada z jego ciężkim ładunkiem. Robotnice wyklute pod sam koniec sezonu, te które nie wykonywały żadnej pracy w ulu, stają się rojami zimującymi. Takie pszczoły mogą żyć ponad sześć miesięcy.

Nawet w czasie największego nawału pracy możliwości rozrodcze ula są o wiele większe niż śmiertelność jego mieszkanek. Kiedy pszczół jest za dużo, następuje tak zwane wyrojenie, czyli podział na dwa roje. Nieraz byłem świadkiem takiego podziału. Gdy ma on nastąpić, doświadczony pszczelarz potrafi bez trudu odróżnić sygnały nowej królowej, która wywołuje z ula swoje robotnice. (Brzmią one mniej więcej jak „zip, zip".) Tylko raz fotografowałem wyrojenie. Zanim przygotowałem kamerę, rój pszczół uniósł się w powietrze i krążył, bucząc jak huragan. Zataczał coraz większe kręgi, aż osiągnął pobliskie krzaki i osiadł na nich zbity w zwartą kulę. W obiektywie aparatu wyglądało to imponująco..."

Pszczoły na plastrze z komórkami zawierającymi larwy

Ule Treata Davidsona

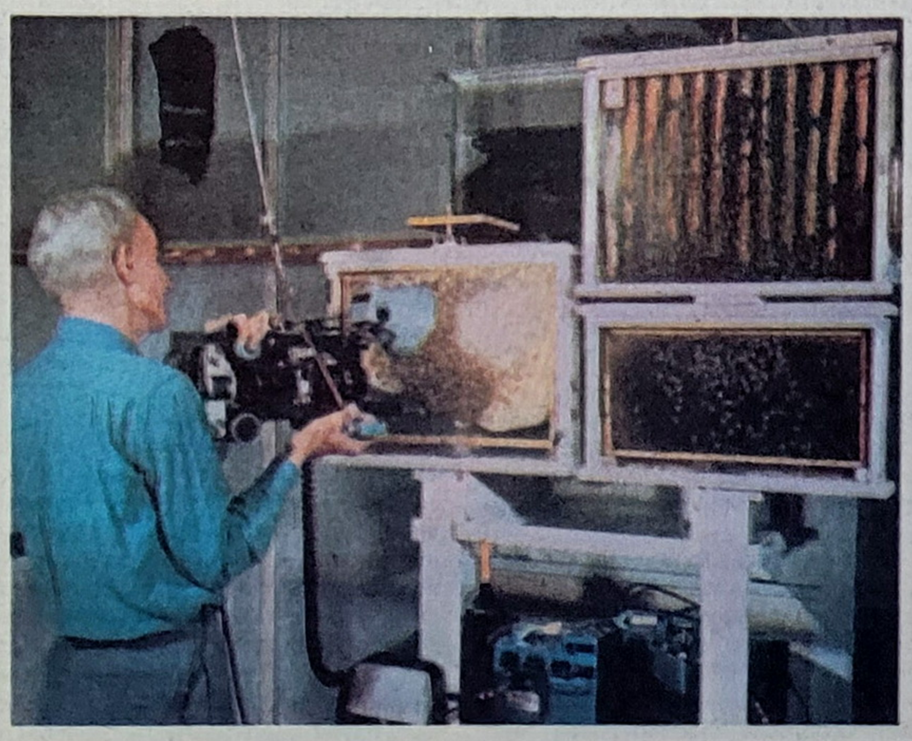

Oprac. **BARBARA KOMUDA**
Fot. **archiwum**

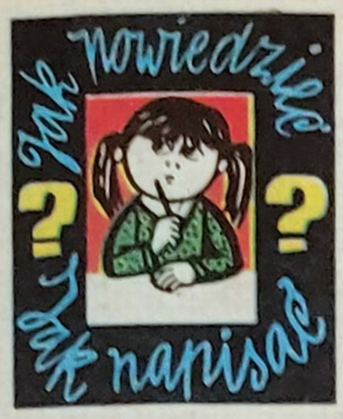

Jesteśmy uczennicami VIII klasy. Po powtórzeniu wiadomości o samogłoskach i spółgłoskach nasza pani polonistka zrobiła nam krótki sprawdzian. Między innymi mieliśmy za zadanie podzielić na głoski wyraz „trzcina". Wszyscy uczniowie z naszej klasy podzielili ten wyraz następująco: t-rz-ci-n-a, zatem na 5 głosek. Pani zaś uważa, że wyraz dzieli się na 4 głoski, tak: trz-ci-n-a. Później oznajmiła nam, że wszystkie prace napisane są na 2. My zgadzamy się z panią co do jej podziału, ale uważamy, że nasz podział był także słuszny. W najbliższym czasie ma być podobny sprawdzian, a my nadal nie wiemy, jak podzielić na głoski tę trzcinę. Bardzo, bardzo i jeszcze raz bardzo prosimy, abyś napisała, czy my też mamy słuszność.

Hania i Zosia z Gdyni

Macie słuszność uważając, że wyraz **trzcina** można wymawiać nie tylko tak, jak chciałaby Wasza polonistka. Słownik Poprawnej Polszczyny wymowę **czcina** podaje na pierwszym miejscu, to fakt, ale zaznacza, że występuje także (choć rzadziej) wymowa: **tszcina** albo **czszcina**. I uznaję ją za dopuszczalną. To po pierwsze.

A teraz sprawa druga. Otóż chciałabym uprzejmie zauważyć, że wyodrębniając i licząc głoski na początku wyrazu – i Wy, i polonistka – zgubiliście jedną ważną głoskę w jego środku. Głoską tą jest **i**. Podzielimy jeszcze raz nasz wyraz, przyjmując wymowę, za jaką opowiada się Wasza pani: cz-ć-i-n-a. Gdyby samogłoski **i** w wyrazie nie było, to nie moglibyśmy go podzielić na dwie sylaby: trzci – na. Oto wystarczający dowód na jej istnienie. W wyrazie tyle jest bowiem sylab, ile samogłosek. Innymi słowy: nie ma sylaby bez samogłoski.

Przypuszczam, że zgubiliście – i, bo wydawało się Wam, iż litera **i** w wyrazie **trzcina** oznacza miękkość spółgłoski **c**. Tak jednak nie jest. W trosce o wynik kolejnego sprawdzianu przypomnę więc jeszcze, że miękkość spółgłosek oznaczamy w trojaki sposób:

1) stawiając skośną kreskę nad literę (ćma, bańka, koń)

2) dodając literę **i** (cios, miód, pięta, nie)

3) nie dopisując żadnego dodatkowego znaku (siny, nitka, cicho, biwak). Jako przykład dopisać tu trzeba również **trzcinę**. We wszystkich wyrazach tej trzeciej grupy litera **i** oznacza głoskę **i**, nie zaś miękkość poprzedzającej spółgłoski. Przed głoską **i** nie trzeba jej oznaczać.

Myślę, że kolejny sprawdzian się uda. Trzymam kciuki.

Wasza **KROPKA**

P.S. Jeszcze raz polecam „Ortografię na wesoło". Do powtórek idealna. Wystarczy właściwie przejrzeć „Zwięzłe wiadomości" – jej końcowy rozdział.

Autorką mego portretu tygodnia jest dziś Ala Pożarowszczyk.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Wybrałem z Waszych listów porcję niezłych „georymów". Oto one:

- **Pewien gil wypił Nil.**
- **Spotkałem kmiecia koło Świecia.**

Cezary Trzciński

- **W Krakowie koń ukłonił się krowie.**

„Ognista Woda"

- **Złowiłem lina koło Tallina.**
- **Wszyscy się bali w Gwatemali.**
- **W Maroku ktoś miał mnie na oku.**
- **W Chartumie każdy to robi, co umie.**
- **Ktoś poinformował mnie mylnie w Wilnie.**
- **W Rosario wołałem – Mario!**

Mirek Pakuła

- **W pałatce na Kamczatce.**
- **W Zurychu mówią po cichu.**
- **Kota w worku kupicie w Malborku.**

Alina Pożarowszczyk

Telegram:

Esmeraldo! Chciałbym przyśnić się Małgosi T. z Leszna. Tłem dla tego snu niech będą zimowe Bieszczady i odrobina muzyki.

Rysiek z Przemyśla

*

Mamy pomysł: Jesienne listy piszmy na klonowych liściach.

Wasz **Rzep**

PS Robert Jawień narysował Kosmitka w stroju japońskim prezentującego Czytelnikom „Świata Młodych" skrzyżowanie stonogi z Tukanem oraz żółwia z brachiozaurem:

— Panie doktorze...

... czy to jest...

... zaraźliwe?

SEKCJA WiW

Uwielbiam Zbigniewa Wodeckiego. Piszcie do mnie! Alicja Pożywio ul. 22 lipca nr 51. 89-400 Sępólno Kr.

★

Nawiążę korespondencję z miłośnikami Elvisa Presley'a, zespołu SMOKIE i HAPPY END. Adam Gruszka ul. Traugutta 1/9. 42-640 Piekary Śl.

★

Wielbiciele Beatlesów, do dzieła! Piszcie na adres: Grażyna Murawska ul. A.G. Siedleckiego nr 5/26. 85-868 Bydgoszcz.

RZEPKLUB

Wpisuję na klubową listę Anię Banaś. Oto nadesłane przez nią żarty rysunkowe.

— Ty Judson przez całą drogę nic tylko narzekasz i narzekasz!

Monika jest teraz studentką Instytutu Pedagogicznego na wydziale matematyki. Przed tygodniem wyjechała do Paryża, zdawała jakieś dodatkowe egzaminy. Jutro albo pojutrze wraca do domu. Na szafce stoi kartka pocztowa z pozdrowieniami. Wysoka wieża katedry Notre-Dame wyrasta ponad niebieską Sekwaną, a dalej widać mnóstwo stłoczonych domów, samochodów, i ludzi. Na tej pocztówce Paryż wydawał się Jankowi przyjazny i swojski.

„Zobaczymy – pomyślał patrząc na kartkę Moniki. – Zobaczymy, co z tego wyniknie".

Ta drobna, szczupła Francuzeczka, to Monique... nie napisała listu, tylko taką sobie zwykłą kartkę z pozdrowieniami... Jan miał ostatnio tyle zajęć, tyle różnych ważnych i nowych spraw, że nie było czasu myśleć o Monice. Dopiero teraz, kiedy siedzi przy stole i pijąc wino patrzy na kolorową pocztówkę, dopiero teraz budzi się w nim jakieś niejasne uczucie więzi z tą dziewczyną. Więc wkrótce wraca. Na pewno tak wypadnie, że zaraz się spotkają i Monika będzie mu długo i szczegółowo opowiadać o Paryżu, o swoich kursach, egzaminach i koleżankach. A on? Czy powie jej o swoich planach? Chyba powinna o tym wiedzieć. Tylko czy zrozumie to wszystko, czego on sam nie będzie jej może umiał dokładnie wytłumaczyć. Może uzna cały ten projekt za bezsensowny i głupi. Poznała Paryż, studiuje... Potraktuje go jak uczniaka. Może byłoby lepiej, żeby nie wiedziała na razie o niczym. Chyba tak będzie lepiej...

Przy stole jest ciągle gwarno i wesoło. Francuz Henri poszedł już do domu, więc wszyscy mówią po polsku. Jan znowu zaczyna się przysłuchiwać rozmowie.

Brygadzista, ten którego renault stał przed domem, wspomniał jak pasł konie pod lasem w swojej rodzinnej wsi.

– Tak jakbym widział teraz to wszystko – mówi. – Las, łąkę, zagon żyta. Bracia mnie zawsze wypychali do koni, bo byłem najmłodszy, a oni nie mieli czasu. Buntowałem się i klnąłem, ale powiem prawdę, lubiłem to zajęcie. Szczególnie pod wieczór, kiedy słońce zachodziło za las i była taka cisza w powietrzu... Taka cisza jakiej tutaj we Francji w ogóle nie ma. I to właśnie było lepsze niż szklanka bordeaux. Tu człowiek czuje się jak śrubka jakiejś wielkiej machiny, która ciągle jest w ruchu. Taka śrubka jeśli nawet pęknie, to zaraz przykręcą nową i spokój, maszyna idzie dalej, nikt tego nie zauważy. A tam człowiek był sobą. Był wielki...

– Dobrze by było wybrać się kiedy na wakacje do kraju – westchnął ojciec.

– Ho, ho, tam już na pewno wszystko jest inaczej – pokiwał głową brygadzista. – To co najlepsze, pozostało tylko w nas, w naszych wspomnieniach...

Jan pomyślał, że musi o tym powiedzieć Piotrkowi. O tych koniach w Polsce i o tej śrubce od maszyny. To jest prawie gotowa piosenka. Oczywiście w takiej piosence musiałoby płynąć także trochę wina, trochę tego czerwonego bordeaux, które rozjaśnia najzawilsze problemy i dodaje głębi wszystkiemu co dotychczas wydawało się mało ważne.

Są sprawy, o których można mówić tylko przy winie, i są sprawy, które można wypowiedzieć tylko piosenką. Bo piosenka powinna mówić więcej, niż znaczą jej słowa. na tym polega sens śpiewania. To jasne... Tylko jak to wytłumaczyć mądrej Monice, żeby wszystko zrozumiała jak należy?...

MONIKA WIE SWOJE

Gdybyś tu była, Moniko,
gdybyś tu była w Paryżu...

– Niedobrze ze mną – pomyślał Janek. – Wszystko układa mi się zaraz w rytm piosenki. Tylko brać gitarę i śpiewać...

Oj, Moniko, Moniko żebyś ty zrozumiała duszę śpiewającego włóczęgi... Duszę – to brzmi za wzniośle. Więc serce? Ale to znowu za banalne... I ten włóczęga ciągle plącze się po głowie...

Zechciej zrozumieć, Moniko...
zranione serce włóczęgi...

Ale gdzie tam? Ta dziewczyna nie chce nic zrozumieć. Uśmiecha się ironicznie i wie swoje.

Zdaje ci się, że tam w Paryżu tylko na was czekają... I że jakiś tam piosenkarz to zaraz nie wiem jaka kariera... To bardzo niepewny zawód... – tak mówiła, kiedy spotkali się któregoś dnia przed wakacjami i kiedy zdecydował się wreszcie wyjawić jej swoje plany.

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN ŚWIEŻY · TUMANI · PRZESTRZENI ODC. 1

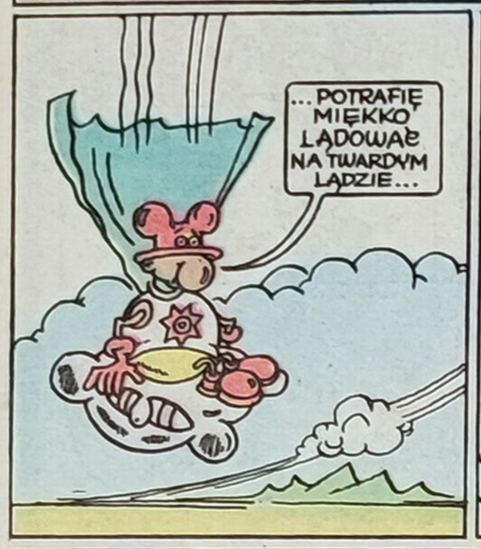

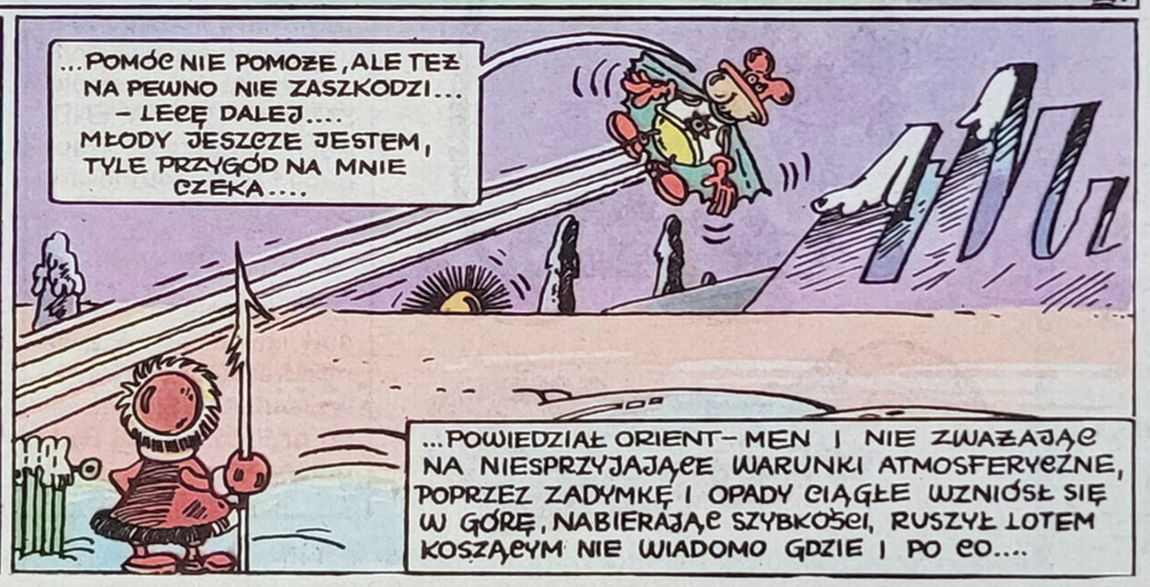

ŚWIAT MŁODYCH
NARODOWA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 6604/G S-6

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— Bliszar! Bliszar! – dopominał się o głos sąsiad Francuz, którego także, zaproszono na uroczystość. – Pamiętasz, jak przyjechałeś do nas z tekturową walizką? Gdzie ci się wtedy marzył jaki domek, co? A teraz mieszkasz lepiej ode mnie.

– Bo widzisz, Henri, Polak to twardy człowiek. Twardszy od Francuza. Narobi się więcej od was, bo ma to we krwi. Może to niemądre, ale tak już jest.

– Oj, Bliszar, nikt ci przecież nie zazdrości, wiadomo jak to było. A ja ci mówię, że człowiek nie maszyna i prędzej od maszyny się zedrze. Oprócz pracy jest jeszcze życie, a wy nie umiecie żyć. Pracować... tak, żyć... nie! Może ja się nie znam, ale tak mi się wydaje.

Tak mówił Henri, rodowity Francuz. Mówił to wesoło i lekko, a mimo to Janek wyczuwał w jego głosie jakby ironię i ukryty żal, że on, w swojej własnej ojczyźnie urządził się o wiele gorzej niż wszyscy obecni tu przybysze z dalekiego kraju. Tacy właśnie są ci Francuzi...

A on, Jan, kim jest? Francuzem czy Polakiem? To prawda, że wyrósł na francuskim chlebie, chodził do francuskiej szkoły i o Polsce niewiele wiedział.

Przyznawał w duchu rację Henriemu. Pewnie! Cóż z tego, że się tylko pracuje i pracuje bez wytchnienia, jak na przykład ojciec. Do domu wraca późno, a i tu zawsze coś jest jeszcze do zrobienia, poprawienia... I wszystko pakuje w ten dom. Co prawda jest się czym pochwalić. Tak mieszkają najbogatsi. Ale czy on, Antoni Blicharz, ma coś, oprócz świadomości, że własną pracą doszedł do wszystkiego?

Dom Henriego jest trochę gorszy i biedniejszy, ale on tak nie pracuje. W sobotę pakuje żonę i dzieci do samochodu i jadą sobie na wycieczkę. Antoni Blicharz za swoją pracę mógłby kupić pięć samochodów, ale co mu z tego, kiedy brakuje czasu na przeczytanie gazety.

I kto jest mądrzejszy? Nie wiadomo... W każdym razie Jan nie był tego pewien.

Przy stole zaczęło się wspominanie starych dziejów. Henri wypił ochoczo toast za „polskich przyjaciół" i wtrącał do rozmowy polskie słowa, których nauczył się od Polaków.

Złoty medal leżał na serwantce w otwartym pudełku – gdyby przyszła komuś ochota, mógł go sobie jeszcze obejrzeć i podziwiać.

Murowany dom, dostatek i wreszcie złoty medal – to był już chyba kres możliwości polskiego górnika z Pas-de-Calais.

Na stole znalazło się dużo francuskich i polskich smakołyków, ale więcej francuskich, bo kto tam w Polsce znał się na przyrządzaniu eleganckich potraw? Matka wiedziała, jak się gotuje barszcz i kapustę ze słoniną, ale przecież to nie są dania odpowiednie na taką uroczystość.

Janek pamiętał podobną fetę jeszcze z czasów dzieciństwa, gdy przystępował do pierwszej komunii, ale wtedy był za mały, żeby wszystko należycie ocenić.

A teraz siedział między gośćmi i popijał cienkie czerwone wino, aż zakręciło mu się w głowie... Nagle wszystko wydało się łatwe i proste. Za rok, może za dwa, przyjedzie tu z Paryża sławny i bogaty. Matka wtedy też sprosi gości i przygotuje uroczystą kolację. Będą jego koledzy ze szkoły i będzie Monika, poważna i zamyślona jak zawsze... I stanie się coś niezwykłego: Monika rozpłacze się nagle jak mała dziewczynka. Wtedy dopiero okaże się, że nie jest naprawdę taka rozsądna, za jaką chce uchodzić.

Znają się już od kilku lat. Chodzili razem do szkoły a potem spotykali się prawie co dzień, nie ujawniając się nawet, bo nie jest trudno spotkać się w takim małym miasteczku.

Dokończenie na str. 7